№ 13. Warszawa, dnia (14) 26 Marca 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika" — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

O zmierzchu.

Wiosna już! Warszawiakowi z krwi i kości mówią o niej wystawy sklepowe pełne okryć wiosennych, fijołki na kapeluszach dam, i t. p. Człowiek, który niegdyś inne znał jej zwiastuny, człowiek w którego pamięci pokutują mgłą tęsknot przywiane wspomnienia wielkich obszarów nieba i pól, czuje ją w powietrzu, i chciwie wciąga w płuca jej woń, choć już niezupełnie czystą, choć zmąconą już wyziewami miasta. Ta woń go upaja, przenosi w czasy dawniejsze, budzi w duszy przycichłe już bunty przeciw sztuczności miejskiego żywota, przeciw ciasnocie murów, które niby ściany więzienia zasłaniają oczom jego błękit nieba i świata dalekie przestrzenie. Ta wiosna odnawia w nim zapomniane potrosze bóle i mgłą zasnuwa mu oczy. I człowiek taki nie widzi w tej chwili szarych kominów, eleganckich magazynów, ruchu ulicznego nie dostrzega. Jemu przed oczami staje wiosna taka, jak przed laty szła na rodzinną wioskę jego, cicha, ciepła, budząca w lasach sasanki, a po łąkach żółte kaczeńce, wiosna młodości jego. I widzi wracające z ciepłych krajów ptaki... ciągną łańcuchami bociany, żórawie, dzikie gęsi. Ciągną, wracają... a on myśli, że marzeń jego młodzieńczych roje skrzydlate nie wrócą już, i nie wrócą ukochanych duchy, które odeszły od niego. Jako te ptaki odleciały w krainy dalekie, ale żadna wiosna do powrotu ich nie skłoni, nie odkwitną mu już tutaj jako sasanki po lasach, pieśń skowronka nie zbudzi ich. Ból ostry, dotkliwy, przenika mu duszę; trzeźwieje. I widzi znowu jednostajne zawsze rzędy szarych, wysokich kamienic i rojowisko obojętnych mu, obcych ludzi. Czuje że te mury przytłaczają go swoim ogromem, radby wyrwać się z tej ciasnoty, jak niegdyś spojrzeć śmiało po przestworzu szerokiem i napić się, napić się... wiosny!

Ach, ta ciasnota murów miejskich, ten brak powietrza i słońca, w jakim wzrastać muszą na bruku rośliny ludzkie!

Czy to nie im przypisać trzeba w znacznej mierze ciasnotę pojęć, anemię i karłowatość nietylko fizyczną, ale i duchową, z któremi niestety tak często spotykać się przychodzi. Ach, gdyby to zależało odemnie, wszystkie szkoły wyniósłbym z miast na pola, do wiosek. Wyrwałbym młodzież z gorączkowego gwaru miasta i osadził w ciszy wiejskiej. Tam, nie przeciążając głów uczniów wstrętnym, bo zbytecznym balastem, wychowywałbym ich na ludzi potężnych duchem i ciałem. Byłaby to reforma nie trudna do wykonania, a ileż ważnych następstw niosąca ludzkości. A jednak marzyć o niej tylko można ot tak, o zmierzchu, w wolnych chwilach. Przypisuję po prostu wiośnie, jej odurzającym wpływom, że pomyśleć mogłem o czemś podobnem. Ot, zachciało mi się, jak to dziecku czasem, gwiazdki z nieba, szybki z okna.

Nie tłómaczcie mi ludzie rozsądni, wiem wiem sam, że to tylko marzenie, że to tylko jedno z tych bezsilnych zachceń, które coraz grubszą warstwą goryczy osadzają się na dnie duszy. Owszem, dzieci moje, zjeżdżajcie się do miast, więdnijcie w pyle ulicznym, bierzcie w siebie zasoby wiadomości, które w życiu nie będą wam ani pomocą, ani pociechą, wysilajcie młode umysły nad przyswajaniem sobie rzeczy martwych i wychodźcie z tych zakładów miejskich umęczone, pobladłe, wycieńczone duchowo i fizycznie, ze spojrzeniem obłędnem, lub cierpiącem. Będą miały z was pociechę Tworki i zakłady karne, w najlepszym zaś razie społeczeństwu przybędzie nowy zastęp automatów, które nakręcone za młodu, przez życie całe wygrywać będą światu jednę i tę samą piosenkę.

Kładę kropkę. Dziwnie zaprawdę usposabiasz mnie wiosno! Ale bo też ty nie jesteś z tych, do których ludzie mawiali z poetą, żeś była im jedną, jedyną w życiu. O wiosno!

A taki jeden dzień już nam dałaś, że chciało mi się wołać do niego ze Żmichowską: „Błogosławionyś pierwszy dniu wiosny!” i śmiać się, i śpiewać, i modlić. Takie wrażenie robił nie na mnie tylko. Gdym szedł ulicą wpatrzony w szerszy nieco niż w innych miejscach szmat błękitu (było to na placu jakimś), usłyszałem za sobą półgłosem mówione urywane wyrazy: „Jabym ci wszystkie bóle, klęski świata, jabym ci wszystko darował, o Boże, za jeden uśmiech wiosennego słońca, za jeden wichru wiosennego powiew...”

To jeden z poetów naszych układał głośno na cześć wiosny, kantatę. Nie chciałem przeszkadzać mu. Poczekam, aż dobierze rymy— myślałem — i w którym z tygodników umieści, i przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Tak, „jeden uśmiech wiosennego słońca, jeden wichru wiosennego powiew,” to ze skarbnicy przyrody najdrogocenniejsze dary. Ale ilu, iluż z nich korzystać nie będzie! Przebiegnij poeto myślą sale szpitalne, więzienne cele, fabryczne warsztaty, sutereny i poddasza, i powiedz mi, na kogo z tych wszystkich więźniów padnie twój promień słońca, które z tych czół umęczonych wicher wiosenny odświeży?

Na ciasne podwórka powypełzały już roje bladych, krzywonogich człowieczków ze staremi twarzami. Dobrzy ludziska myślą o tem, żeby chore maleństwa te wywieźć na wieś. Parę tysięcy przygarną kolonie letnie, ale ile tysięcy pozostanie przez lato w murach miasta na zagładę swoją, lub na żywot wymuszony, chorobliwy?

I o schylonych wiecznie pracownicach igły, i o bladych zmęczonych nauczycielkach mówi się i pisze, układa dla nich plany wakacyi. Tylko o białych murzynach piśmiennictwa, o tych ofiarach, co to po pustyniach jałowych ogórkowego sezonu, zbierać muszą ubogą roślinność na pokarm dla czytelników, o tych najbardziej potrzebujących odpoczynku dla umysłu i ciała, głucho dotąd. I oni sami nie upominają się za sobą, i nikt w opiekę ich nie bierze.

Ha, wiosno, wiosno! Gdybyś ty wszystkim równie miłosierną matką być mogła!

X.

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

— Ja miałam nadzieję, że chociaż w święta pani tu ze mną się pomodli!—westchnęła panna Klara.

— Tu nie, bo te obrazki czyniłyby mi tylko roztargnienie, a lampki strach pożaru tych papierowych kwiatów. Ale jeśli pani lubi taką dekoracyę, to niech ją pani dla siebie zachowa.

To forma—byle treść była w pani religii, to i dobrze — i z tem opuściła pani Taida „celę.”

Panna Klara srodze przerażona o jej zbawienie, postanowiła oświecenie i nawracanie zacząć od pani domu. Tymczasem objęła swe obowiązki i po roztrzepanej pannie Wandzie wydała się pani Taidzie skarbem. Była drobiazgowa, sumienna, dość tępego umysłu, i niepraktyczna, ale posłuszna co do litery, i nie kłamała nigdy.

Tylko czynności swe spełniała smętnie, wzdychająca i rzewliwa, jakby była kozłem ofiarnym za winy całej ludzkości.

Po tygodniu znienawidziła ją, ale zarazem drwiła z niej cała służba. Formułki zdawkowej moralności nosiła w kieszeni i na ustach zawsze, jak panna Wanda sucharki i cukier. Miała je w piersi zamiast serca, w głowie zamiast myśli, i rozdawała jak kolporter prospekta.

„Módl się i pracuj,” „Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,” „Cierpienie, wrota do raju!” „Szanuj przykazanie,“ „Przy ubogim Bóg!”

Mówiła to po kolei wszystkim, kto przychodził po radę i pomoc, uważając, że spełniła swój obowiązek. Chłopi słuchali, potakując, czekając, że po pięknem słowie nastąpi lekarstwo lub datek, ale panna Klara szła dalej, lub cofała się do swego pokoju i zatapiała się w swych modlitewnikach, zkąd wyławiała coraz piękniejsze frazesy — nigdy nie dotarłszy głębi, nigdy nie dostawszy pereł z tej toni.

Przez czas jakiś spędzała wieczory w swej „celi,” potem wprosiła się na gawędkę do pani Taidy.

W sypialni ciemnawej, oświetlonej jedną lampą, siadywały naprzeciw, stanowiąc uderzający kontrast.

Rozdzielał je stół, zarzucony skrawkami grubego sukna i płótna, z których pani Taida szyła spencerki, spódniczki i koszulki dla dzieci folwarcznych. Nie bardzo jej to szło prędko i składnie, ale odziedziczyła to zajęcie po cioci Dysi, więc je spełniała sumiennie.

Panna Klara naprzeciw cieniutkie nici wiązała szydełkiem, i rachując oczka rozpoczynała rozmowę.

— Czy to być może, proszę pani, że poprzedniczka moja miała brzydki stosunek z pisarzem?

Pani Taida podnosiła oczy uzbrojone w okulary.

— Kto pani to mówił?

— O, jabym sobie nie pozwoliła na podobne rozmowy. Słyszałam przypadkiem.

— Powinna była pani nie pozwolić na szkalowanie kogoś nieobecnego.

— Godność moja kobieca nie pozwala mi nawet wyznać, że rozumiem podobne stosunki.

— Żadnych grzesznych stosunków nie było, co najwyżej lekkomyślność młodości.

— Pani to nazywa lekkomyślnością! Ale ja wolna jestem nawet od takiej lekkomyślności, i ubliżyłoby mi wglądanie i wtrącanie się do podobnie bezecnych rozmów! Wogóle, ciężkie jest życie panny mego wychowania wobec brutalności ludzi prostych, z którymi muszę obcować, i często zgroza mnie ogarnia, jakie były te, które ich uzuchwaliły do tych okropnych wyrażeń i szczegółów! Straszna tu panuje demoralizacya! Czy wystawi sobie pani, że podobno żona leśniczego nie jest ślubną, a ochmistrzyni źle się prowadzi, nie mówiąc już o córkach ekonoma.

— Zkądże pani to wszystko wie, z nikim nie rozmawiając i tak się gorsząc.

— Jestem niestety narażona na zgorszenie. Mój Boże, żeby mnie mama mogła widzieć, ona, co mnie uchowała jak kwiat czystą.

— Więc się pani tu dopiero dowiedziała o tych, jak je pani nazywa, „brzydkich stosunkach!”

— Wiedziałam, że świat grzeszny, ale teraz widzę, że jest to piekło. Dziękuję Bogu, że taką nie jestem.

— „Żem nie jest jako ów celnik“ — zamruczała pani Taida.

Panna Klara nie uważała przerwy.

— Przecie ci ludzie za życia są potępieni. Obcować z niemi jest grzechem. Oni już nawet nieprzystępni są nauce i opamiętaniu. Oni już nawet nie rozumieją, nie widzą, nie cenią cnoty. Oni ślepi — szydzą ze mnie. A ja im przykładem niebo wskazuję.

— Pani Taida złożyła ręce z robotą na kolanach.

— Czy pani nie miała nigdy pokus młodości?

— Boże! Nigdy! W mojej klasie?—oburzyła się.

— A czy pani nie miała, nie kochała narzeczonego?

— Czemże mogłam pani natchnąć podobne posądzenie. Jestem biedną dziewczyną, ale pochodzę z rodziny chrześciańskiej, z domu obywatelskiego.

— Więc cóż? Alboż chrześcijanki i obywatelki nie mają pokus, miłości i narzeczonych.

— Ja, dzięki Bogu, uniknęłam takich brutalnych zasadzek! — odparła panna Klara urażonym tonem.

— Ano, więc pani nie jest żywym przykładem, ani żywcem do nieba pani nie pójdzie, bo nie mając pokus i walk, niema pani w tem ani zasługi, ani zwycięstwa, i potępiać innych niema też pani prawa, jako nie kompetentna. Zapewne zgorszenie jest, i ludzie nie aniołowie, ale kamienować wolno tylko tym, którzy sami są bez grzechu. I o swą duszę niema pani co się lękać! Nie zbrudzi jej nikt i nic pomimo woli!

— Ja wiem, że się o biedną sierotę nikt nie troszczy, ani dba. Cierpienie i samotność zapoznanej, to moja dola. Mój Boże, żeby mama wiedziała jaki los mnie czeka!

— Toby panią może inaczej chowała—hartowniej i trzeźwiej. Ze swem usposobieniem powinnaby pani do klasztoru wstąpić — odparła zniecierpliwiona pani Taida. Możeby panią tam pojęli, bo na świecie—wątpię.

Panna Klara westchnęła i umilkła.

Po chwili spytała pani Taida.

— Czego chciał ten chłop, com go dziś spotkała w garderobie. Był bardzo zbiedzony.

— On! Zbiedzony! On najbezczelniej przyszedł do mnie o poradę dla żony, która —

zachłysnęła się panna Klara — która miała dziecko! Myślałam, że umrę ze wstydu, gdy przy kucharzu rozpoczął mówić o takich rzeczach.

— Ależ, proszę pani, ani on, ani kucharz, nie widzieli w tem nic gorszącego, ani wstydliwego. Ludzie przywykli do dworu iść po radę we wszelkich chorobach. Naturalnie, nie wiedziała pani co rzec.

— Owszem, wiedziałam i powiedziałam, co myślę o takim cynizmie. A kucharz — ten się śmiał.

— Z pani zgrozy zapewne. Oni nie wierzą, ani wiedzą, co naiwność. Zresztą, w pani wieku...

— Liczę lat trzydzieści i jestem panną!

— Pocóż więc pani te formy i wyrażenia podlotka. Wierz mi pani, że to nikomu nie wyda sią szczere, ani stosowne. A cóż znowu uraziło panią dzisiaj w oborze, że pani ztamtąd uchodziła jak z ognia.

— Noga moja tam więcej nie postanie. To nie jest zajęcie dla kobiety z mojej klasy!

Pani Taida pokręciła głową.

— Nigdy mi na myśl nie przyszło, że to coś niestosownego — rzekła znudzonym tonem. — A mleko, czy też gorszy panią?

— Mój Boże, i pani mnie nie rozumie! To jednak tak jasne, że panna z obywatelskiego domu nie może się zajmować hodowlą inwentarza, ani radzić na choroby kobiece.

— A czemże wreszcie może się zajmować, gdy ją los rzucił na wieś i dał majątek, a niema męża. Dwadzieścia lat sama rządzę i pracuję, a ani razu mi do głowy nie przyszło, że czynię coś niestosownego z mą obywatelską godnością.

— Co wypada mężatce, nie wypada pannie.

— Aha, pani więc lęka się o swą opinję, dla zamężcia. To kwestyę zmienia. Ale przed chwilą równie zażarcie broniła się pani przed posądzeniem o uczucie i narzeczonego. Ale tu nikt nie bywa, i wątpię, czy znajdzie pani partyę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ze Starego Miasta.

MACIEJ FLISAK.

I.

Jest Maciej Flisak lokatorem
Wązkiej rudery staromiejskiej;
Na srebrną Wisłę, na Warszawę
Ma z okien widok czarodziejski.

Dachy, kamienie, świątyń szczyty
Pną się w niebiosa tak wspaniale,
A tam... za niemi, o brzeg bijąc,
Szumią Wisełki mętne fale.

Szumią Wisełki mętne fale,
Ponuro płaczą, gdy zawieja.
Ponad muzykę najpiękniejszą
Milsze ich pieśni dla Macieja.

W każdy miesięczny wieczór jasny,
W każde słoneczne ciche rano,
On załzawionem patrzy okiem
Na swoją rzekę ukochaną.

II.

Zwiedził pan Maciej kawał świata,
Kiedy orylem był z rzemiosła;
Ztąd nazwa „Flisak" do imienia
Na wieki wieków mu przyrosła.

Widział on miasta cudzoziemskie,
Tak hałaśliwe i błyszczące;
Widział swej rzeki szumne wody
W otchłań Bałtyku wpadające.

Zebrał on grosze na flisactwie,
Zjadł na flisactwie krzepkie zęby; —
Spławiał na tratwach aż do Gdańska
Masztowe sosny, siwe dęby.

A gdy napęczniał trzos flisaka,
On — dziwnie tęskny — wracał żwawo,
Bo piękna Wisła koło Gdańska,
Ale piękniejsza pod Warszawą!

III.

W starej izdebce na facyatce,
Kędy zmurszałe stoją sprzęty,
Ledwie z fal Wisły wstanie zorza,
Krząta się Maciej uśmiechnięty.

Na nos rogowe okulary,
Piankową fajkę w gębę bierze,
Potem przy oknie, pomrukując,
Naprawia sieci i więcierze.

A gdy pod wieczór sierp księżyca
Przejrzy się w cichych Wisły wodach,
Gdy budzą echa lat minionych
Ochocze skrzypki po gospodach,

Pan Maciej Flisak głowę chyli
I przypomina w ścian swych ciszy,
Te twarze, których nie obaczy,
Te głosy, których nie usłyszy!

IV.

Jest Maciej Flisak kawalerem,
Rodzinne szczęście mu nie świeci,
Za to ojcowskiem sercem szczerem
Starego Miasta kocha dzieci!

W zimowe zmierzchy w okna stancyi
Szturmuje śniegiem zawierucha,
A w wielkim piecu ogień płonie,
A gawęd starca dziatwa słucha.

To im obrazki pokazuje,
To stare baśnie opowiada,
Wąsami rusza, ręką macha
I, pełen werwy, gada... gada...

Z buziaków dziewcząt zapał bije,
W ich sercach, w mózgach coś się budzi,
A Maciej kończy: „Ej, pędraki!
Wam nie zobaczyć takich ludzi!..

V.

Prześnionych marzeń, sił straconych
Żadnym więcierzem nie ułowi, —
Dziwy, jak prędko, jak wesoło,
Przebiegła młodość Maciejowi.

Żywot nie krótki z woli nieba,
Oraz w przygody miał bogaty:
Zjawił się Flisak na świat Boży
Coś przed niespełna stoma laty.

Nieraz przypomni, gdy mu weny
Doda gorzałka lub araczek,
Jak to nad Wisłą piękny książę
Smalił cholewki do rybaczek.

Dzisiaj po księciu i rybaczkach
Już nie zostało ani śladu, —
Pora i tobie do mogiły,
Pora i tobie, stary dziadu!...

Or.-Ot.



Z Krakowa.

Podawaliśmy w „Tygodniku" dość szczegółowe sprawozdanie ze stanu przejściowego w jakim znajdowała się sprawa kursów Baranieckiego; obecnie mniemamy, że zainteresowane już tą kwestyą czytelniczki, z chęcią usłyszą o dalszych losach tak pożytecznej instytucyi. Na szczęście wiadomości, jakiemi podzielić się pragniemy na teraz, są pomyślne. Kursa stają się przedmiotem troskliwości ogółu, w niej zyskują poparcie i rękojmię trwałości na przyszłość. Dnia 12 Marca zgromadziło się w lokalu kursów grono osób, złożone z dawnych wychowanek zakładu, profesorów i wogóle ludzi oceniających wielką początkującej instytucyi użyteczność, a to celem założenia Towarzystwa imienia Adryana Baranieckiego. Z inicyatywą Towarzystwa wystąpiły pp. Halina Duszyńska, Róża Krasicka, Józefa z Osiecimskich Rosnerowa i profesor J. Rostafiński — i od tego kompletu wyszły zaproszenia do przyjęcia udziału w obradach. Przemawiał zagajając zgromadzenie dyrektor kursów, a z treścią jego serdecznej odezwy, w główniejszych przynajmniej punktach, postaramy się obznajmić czytelniczki „Tygodnika."

Mówca kładzie przedewszystkiem nacisk na to, że zadaniem kursów jest dopełnienie naukowego i artystycznego wykształcenia kobiety, i dlatego z natury rzeczy stanowić one muszą pośrednią między szkołą a uniwersytetem instytucyę. Ich zakres naukowy zbliża się do uniwersyteckiego, stanowić może w danym razie korzystne do specyalnych studyów przygotowanie, ale przedewszystkiem obejmuje on pewien odrębny całokształt wiedzy, który nie tworząc specyalistek w żadnej z nauk, potężnie się przyczynia do rozszerzenia widnokręgu zapatrywań przed kobietą. Żywotność tej młodej instytucyi naukowej najdowodniej okazała się w roku bieżącym, gdyż pomimo zapisania się stu przeszło kobiet na tutejszą wszechnicę, ilość słuchaczek nie zmniejszyła się wcale. W dalszym ciągu przedstawia mówca koleją niedostateczność środków materyalnych, jakimi dotąd rozporządzał zakład, jego stopniową reorganizacyę, przyczem wyraża niezłom-

ną nadzieję, że rada miasta, której prezydent liczy się do szczerych przyjaciół instytucyi, że rada ta nie dopuści ich połączenia się z jakimkolwiek zakładem średniego nauczania, a tem samem, do zatarcia charakteru i przeznaczenia.

Zadaniem zawiązującego się obecnie Towarzystwa imienia dr. Baranieckiego jest zapewnienie dziełu jego trwałego bytu, ztąd konieczność zbiorowego udziału dla poparcia i rozwoju tej myśli Kursa potrzebują własnego gmachu, sal ze specyalnem oświetleniem, którego lokale najęte nigdy zapewnić nie mogą kształcącym się w różnych gałęziach sztuki. Kursa potrzebują nadewszystko zakładu, który z góry nazywa mówca domem Baranieckiego.

Tam znalazłyby pomieszczenie i opiekę domową uczennice przybywające z dalekich stron, tamby znaleźć mogły one pod stosownem kierownictwem ognisko domowe, spokój, i pomoc.

Po oddaniu hołdu należnego pamięci znakomitego obywatela, jakim niezaprzeczenie był ś. p. Baraniecki, poruszono wiele szczegółów zamierzonej reorganizacyi, wniknięto w ducha tej instytucyi wychowawczej, a koleją sformułowali zgromadzeni jej potrzeby, cele i środki. Nakoniec wybranym został komitet, złożony z dwudziestu osób, w celu ułożenia statutu i przedstawienia go na przyszłem zebraniu założycielom Towarzystwa.

Można szczerze powinszować inicyatorom stowarzyszenia, a zarazem kontynuatorom płodnej w następstwa myśli ofiarodawcy; nie należy też powątpiewać, że pogarnie się do współudziału intelligencya nie samej tylko Galicyi, a nakoniec że i ofiarność pojedynczych ludzi rozporządzających znaczniejszymi środkami, uzna ważność przedsięwzięcia i dopomoże skutecznie do jego szerszego rozwoju.

Od sprawy specyalnej, przejdźmy do faktu ogólnego, a doniosłego niezmiernie znaczenia.

Tak zwana przez złośliwych Beocya Polska, *das passive Land*, jak nazwali Galicyę ci, którzy ją do stanu dzisiejszej bierności doprowadzili, wypływa tym razem na widownię całego świata cywilizowanego, a staje się to za sprawą jednostki, o której istnieniu na tej ziemi przed niedawnym jeszcze czasem ani wy czytelnicy, ani nikt wogóle nie wiedział. Jednostka to skromna bardzo, wyszła albo z ludu, albo z drobnego mieszczaństwa galicyjskiego, bo i tych nawet bliższych szczegółów nie dostarczono nam dotąd, pomimo, że nazwisko samo powtarzają już dzisiaj z uniesieniem wszystkie pisma starego i nowego świata. To nazwisko, plebejuszowskiego prawdziwie brzmienia, pisze się po polsku *Szczepaniak*, a jak je wymawiają cudzoziemcy, tego nie wiemy także, to tylko wiadomo nam napewno, że pierwej niż my dowiedzieli się o niem ci obcy i dalecy, i pierwej uderzyli w wielki dzwon rozgłosu dla genialnego człowieka, który ukazawszy się zaledwie na widowni sprowadził odrazu rewolucyę zupełną w jednej z gałęzi przemysłu, a w elektrotechnice stanął wyżej od wszystkich dotychczasowych wynalazców — wielkiego nawet Edisona nie wyłączając. Ale mówmy porządkiem, bo zbyt ważnem jest to wszystko razem, żebyśmy z każdej nadchodzącej do nas notatki skorzystać nie mieli.

Jan Szczepaniak liczy dzisiaj 25 lat wieku. Urodzony w Krosnie uczęszczał do szkół galicyjskich, ale gimnazyum dla braku środków ukończyć nie mógł. Przeniósł się więc do seminaryum nauczycielskiego i rozpoczął życie czynne od posady nauczyciela ludowego. Oczywiście, że zajęcie to nie mogło zaspokoić jego genialnego ducha, i oglądając pewnego razu w chwilach wolnych warsztaty tkackie, wpadł odrazu na kilka myśli, które jemu samemu wydały się zupełnie prostemi, które jednak świat cały nazywa dziś genialnemi. Zresztą i w szkołach już interesowała go najmocniej fizyka, i z tego powodu był on podziwem nietylko współuczniów, ale i nauczycieli. Od tych jednak dowodów zaściankowego uznania jakże daleko jeszcze było do wypłynięcia na widownię świata. Ale geniusze nie giną. Z głową pełną pomysłów znalazł się Szczepaniak na bruku Wiedeńskim, ale tutaj zrazu szło mu bardzo opornie. Przemysłowcy mając sobie przedstawione pomysły, ruszali niedowierzająco ramionami i dopominali się o modele — o te modele, z których każdy tysiącami opłacać trzeba było. Widząc, że z tkactwem trudno będzie porozumieć się bez środków, udał się do władz wojskowych chcąc im zbyć wynalazek swego elektroskopu, ale i tu rutyna i nieufność zagrodziły mu drogę. Dopiero spotkanie się z dawnym kolegą szkolnym Juliuszem Kleinbergiem, bankierem wiedeńskim, położyło koniec zwłokom i przeszkodom.'

Dzięki środkom materyalnym, które rozumny i uczynny człowiek oddał do rozporządzenia genialnemu wynalazcy, opatentowano jego pomysły, i odtąd Juliusz Klejnberg negocyuje z poszczególnymi krajami o nabywanie jego systemu warsztatów, które w tkactwie stanowią tak doniosłą erę, że dzisiaj pismo niemieckie „Reichswehr" nazywa Szczepaniaka Jaquard'em II-gim. Za jego wynalazek stosujący w tkactwie wzorzystem (Musterwebcrei) fotografię, zapłaciła dotąd Anglia 1,000,000 koron, a Ameryka 1,500 000 dolarów. Przewrót to w przemyśle tkackim zupełny.

Podczas gdy za te zastosowania nazywają go, jak powiedzieliśmy, Jaquard'em II gim, elektroskop zjednał mu przydomek Edisona II-go. Nad tem dziełem pracował, jak mówią, Edison od lat wielu i nie mógł jakoś wybrnąć z trudności. Szczepaniak rozwiązał wszystko, i dziś komitet wystawy paryzkiej ma nareszcie swoje marzone *great attraction*, za którem się tak długo a daremnie ubiegał. Jest to przyrząd, przy pomocy którego można na wielkie odległości słyszeć i widzieć jednocześnie. Wobec tego oczywiście długo oczekiwanego odkrycia bledną wszystkie fonografy i mikrofony.

Zapewne o tym genialnym samouczku nie raz jeden i nie sto razy usłyszycie jeszcze czytelnicy, dzisiaj możemy wam tylko powiedzieć, że wedle tego, co donoszą, pomysły roją się u niego, i że przy niezmiernej skromności swojej, ten człowiek nadzwyczajny powiada, iż to, co zrobił dotąd jest niczem prawie w porównaniu z tem, co obecnie myśl jego zaprząta.

Na zakończenie podamy wam krótką notatkę o jednym jeszcze pamiątkowym domu, którym wdzięczność ludzka dobrze zrozumiana przysłużyła się Krakowowi.

W dniu 13 Marca odbyło się tam z udziałem członków założycieli ogólne zebranie uczestników Towarzystwa imienia Jana Matejki. Zebranie miało miejsce w domu imienia wielkiego artysty. Pierwsze piętro jest już zupełnie urządzone i otwarte dla publiczności; zachowano mu najściślej charakter mieszkania zmarłego mistrza. Dalsze urządzenie tego muzeum zależnem jest od ofiarności publicznej, dotychczas bowiem zgromadzone fundusze uważać można za wyczerpane. Celem przysporzenia ich, zaprojektowano, a nawet przyjęto w zasadzie urządzenie tomboli artystycznej, na którą nadesłać mają prace swoje wszyscy malarze polscy. Uroczyste otwarcie domu Jana Matejki odbędzie się jednocześnie z odsłonięciem jego pomnika w kościele P. Maryi w Krakowie. Z darów złożonych na rzecz domu najcelniejsze są: od krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych srebrny odlew pośmiertnej maski Matejki — od lwowskiego Towarzystwa sztuk pięknych portret Matejki pędzla Jabłońskiego — od p. Wołodkowiczowej szkic do obrazu „Sobieski pod Wiedniem i—od ks. Czartoryskich szkic Kościeleckiego z kopalni Wielickich. Wogóle na brak pamięci i uznania dla spuścizny, jaką zostawił krajowi Matejko, skarżyć się dotąd zarząd nie może; ze sprawozdania kasowego przekonywamy się, że w roku ubiegłym wpłynęło do kasy 23,265 złr. Zważywszy ogrom potrzeb, o jakie woła Kraków, i ofiarność samej prawie Galicyi na ten cel, fundusz wydaje się znacznym.

Oto macie czytelnicy treściwy obraz tego czem się umysły wśród parlamentarnych feryi zajmują najgoręcej w Krakowie. Te ferye skończyły się w tych dniach, a co ze sobą przyniesie nowy gabinet i nowe walki stronnicze, o tem usłyszycie niebawem w innych pismach.

Y—on.

Anatol Krzyżanowski.

W KOLOŃSKIEJ KATEDRZE.

WSPOMNIENIE.

(Ciąg dalszy).

Pani Zofia i Réné czuli się w tłumie tym tak odosobnieni, jakgdyby pustynia otaczała ich dokoła. Wprawdzie młoda kobieta dowiedziała się, że—jak wszędzie — jest i tutaj kilku polaków, ale najpierw należeli oni do odrębnych sfer towarzyskich, a przytem u innych zasiedli stołów.

Dokoła nich dwojga rozlegały się tylko syczące dźwięki mowy Albionu. Cała rodzina jakiegoś amerykańskiego nababa zajęła najbliższe miejsca, odcinając młodą parę od reszty współbiesiadników.

— Gdybyż życie było jedną przejażdżką po wodach Renu — wyrwało się niebacznie na usta kobiety.

— Jednem marzeniem, jedną ułudą — uzupełnił mężczyzna. — Jakże znać w słowach tych idealistyczną naturę pani. Wystarcza jej blask daleki, gdy mnie płomienia trzeba... Szczęście nie może i nie powinno być chwilą przelotną w naszem istnieniu. Zdobyć je i ujarzmić, to najszczytniejsze zadanie człowieka. *Vouloir c'est le plaisir des dieux.* Kto czarę trzyma w ręku, kto czuje przedsmak nektaru, a jednak nie ma dość odwagi, by go podnieść do ust spragnionych, ten obraża Mądrość Najwyższą. Nektar ów bowiem dała ona właśnie ku upojeniu ludzkości.

— Nie rozumiem. Pan mówi o...

— O miłości, tem drugiem słońcu wszechświata. Jeden jej promień rozjaśnia więcej życie od blasku najcudniejszej jutrzenki, jeden błysk rzuca — dla mnie przynajmniej — nowy czar na nadreńskie wybrzeża, które niedawno ideą patryotyzmu pociągały mię tylko.

Czarne, płomienne jego oczy obejmowały ją śmiałem spojrzeniem, dopowiadając wyraźniej słowa. na ustach zawisłe. Gorący blask źrenic mówił zarówno o szczerości zapalnej, wybuchowej tej natury, jak o potężnem wrażeniu, jakie wywierała na nim egzotyczna, pełna poezyi uroda kobiety.

Ta szczerość właśnie, bijąca z każdego jego rysu, z każdego słowa, ten zapał i upajająca moc spojrzeń, rozmarzały coraz silniej złotowłosą, eteryczną cudzoziemkę. Dwie natury, fizycznie i moralnie biegunowo sobie przeciwne, spotkawszy się tu, wśród niezwykłego a pełnego uroku otoczenia, musiały oddziaływać na siebie wzajemnie. Zdradny Rüdesheimer, rozgrzewając krew coraz silniej, podniecał jeszcze uczucia i potęgował wrażenia.

— Więc pani sądziła — mówił mężczyzna śmiało, tonąc w blasku źrenic jej, błękitnych w tej chwili, jak toń niebios — że ja zostanę w szablonowym, nędznym Wiesbadenie, jedną choćby chwilę po twoim wyjeździe. Wszak zatrzymałem się tam na dni parę, a ujrzawszy cię, zabawiłem miesiąc blizko. Uczuć moich nie taiłem przed panią, wiesz przeto, że dziś, gdzie ty, tam mój świat, moja droga i moja przyszłość.

Wyprostowała się dumnie, chcąc skarcić zbyt śmiałe wyrazy. Nie dopuścił jednak do tego. Piękne, wyraziste jego rysy, ogniem spłonęły:

— O, nie cofaj się pani! — zawołał. — Nie zbrój się przeciw mnie w tę dumę, którą już niejednokrotnie zmrozić mię chciałaś. Po co walczyć z przeznaczeniem, po co opierać się sile wyższej? Czy sądzisz, że istnieje coś świętszego i potężniejszego nad uczucie, przed którem bronisz się daremnie?

— Zapominasz pan, że nie należę do siebie..

— Nie, lecz chcę, byś zrozumiała, iż jeden pocałunek, złożony na ustach ukochanych, więcej wart nad wszystkie konwencyonalne kłamstwa. Praw natury nic nie zmieni i nic nie pokona. Nikt też nie wynalazł dotąd silniejszej nad miłość potęgi.

— Istnieje: obowiązek.

— A więc — mówił, elektryzując ją wzrokiem—idź pani ku niemu, zamknij się w zimnych ramach filisterskiego, mieszczańskiego obowiązku... Idź!.. Wyrwij z serca — jeżeli możesz — wspomnienia ostatniego miesiąca. Wykreśl je z pamięci... Ja, w szlachetnej, samobójczej tej pracy, żadnem nie przeszkodzę ci słowem. Idź!.. Unicestwisz więcej niż mnie i siebie, bo pierwiastek boży, tchnięty w serca nasze, a zmuszający, by z przeciwnych krańców świata, zeszły się one i spotkały, jak dwie części jednej, nierozerwalnej całości.

Kobieta, uniesiona siłą słów tych, zahypnotyzowana niemi nieledwie, słuchała ich jak objawienia, jak woli wyższej, budzącej ją z dotychczasowego odrętwienia.

— W prowansalskiej i hiszpańskiej mej ojczyźnie – ciągnął z zapałem — inaczej miłość pojmują. Tam uważają ją za święte natchnienie, za głos pochodzący z nieba. Ale, tyś dziecię północy. Lody krew ci zmroziły, a ducha ujęły w kajdany hipokryzyi. Idź więc!.. Wracaj do kłamstw konwencyonalnych, do znienawidzonych okowów małżeństwa, do całej nędzy moralnej, jaką pociąga za sobą fałsz i udawanie codziennej egzystencyi. Zawiodłem się, sądząc, iż miraże szczęścia, że szalona miłość moja, zbudziła twego ducha... Zawiodłem się!.. Idź pani, wracaj do roli niewolnicy... Co do mnie, każę się dowieść w tej chwili łódką, do wybrzeża, i nie zobaczysz mię nigdy.

Rozogniony, z oczyma pałającemi żalem i urazą, powstał, by groźbę w czyn zamienić.

Kobieta pobladła. W rozszerzonych jej źrenicach troska i ból błysnęły. Wszak wraz z nim pierzchną pierwsze w życiu, świetlane marzenia, pierwszy błysk szczęścia i jego możliwość.

Rączka jej wyciągnęła się ku niemu błagalnie.

— Zostań pan—zawołała z przestrachem.— Zostań! Ja proszę o to.

On dłoń tę ujął i przez nią pociągnięty, na dawne wrócił miejsce.

— Skoro pani każe, zostaję, lecz tym razem stawiam warunki. Nie chcę, byś mi się wymykała ciągle, jak to czyniłaś dotąd; nie chcę, byś znów — jak dziś z Wiesbadenu — wyjechała nagle i potajemnie, nie uprzedziwszy mię ani słówkiem. Miłość, na równi z moją silna, ma prawo rozkazywać, ma prawo wziąć cię na własność, uważając za swoje dobro, za cząstkę własnej duszy.

Chciała zaprzeczyć, lecz ogień jego spojrzeń obezwładnił ją, przejąwszy cichem, a głębokiem uczuciem szczęścia.

— Wiem—ciągnął—że jedziesz pani do Paryża, do mojej przybranej ojczyzny. Nie żądam pospiesznych postanowień, ale pozwól sobie towarzyszyć, pozwól abym dał ci się poznać bliżej. Może, czyniąc honory mego rodzinnego kraju, który oby jak najprędzej i tobie stał się drogim, zdołam przekonać cię, że szczęście, to nie czczy wyraz, lecz cały, nieznany ci świat uczuć i wrażeń.

W delikatnych rysach kobiety odbiła się silna walka wewnętrzna.

— Czy pozwalasz pani? — pytał kusząco.

Zawahała się, a łuna rumieńca oblała lica jej i czoło, aż po brzeg włosów złotych.

— Wszak do Paryża każdy może jechać— szepnęła wymijająco. — Jakiem więc prawem miałabym panu bronić tej wycieczki?

— Wiem o tem—mówił pochylony ku niej, z wyrazem gorącego uwielbienia. — Wiem, lecz pragnę, byś mię pani upoważniła do opieki nad sobą, do towarzyszenia ci w mieście nieznanem. Niechaj istnieje między nami ten węzeł chociaż; wszak nieme tak długo, a wierne uwielbienie, zasłużyło na drobną łaskę? O, nie obawiaj się pani, że będę natrętnym towarzyszem podróży. Jedne twe słowo, jedno niezadowolone spojrzenie, a nie ujrzysz mię więcej.

Czuła, ze stawia krok fałszywy, na niebezpiecznej i ślizkiej drodze, a jednak nie mogła się oprzeć wymowie gorących, rozkochanych jego spojrzeń. Wszak dotąd nikt tak do niej nie przemawiał, nikt nie wprowadzał jej do zaczarowanej krainy marzeń i uczucia.

— Jedź pan — wyszeptała cichutko.

Nie dotknął jej ręki nawet, lecz na znak podzięki, głowę z czcią pochylił nizko. Gdy podniósł ją, w czarnych jego oczach, nie tryumf, lecz rzeczywiste błyszczało rozrzewnienie.

— Dziękuję — wyrzekł głosem stłumionym.

Jasnowłosa Loreley była również wzruszona.

Dokoła zawrzało tymczasem. Perlisty szampan zapienił się w czarach współbiesiadników Anglicy pili zdrowie Renu.

Francuz pochwycił kielich, a przysuwając drugi pani Zofii, zawołał:

— Na cześć królowej rzek i otrzymanego przed chwilą przyrzeczenia, na cześć najpiękniejszej z kobiet, na cześć poezyi, miłości i szczęścia!..

Zniewolona prośbą jego wychyliła czarkę całą. Wydawało jej się to wszystko snem rozkosznym, nic z rzeczywistością nie mającym wspólnego. Śmiało się w tej chwili słońce, śmiały w złotym jego blasku szmaragdowe wybrzeża Renu, śmiały się szafirowe wody jego, rozpryskujac się w dyamenty i opale o otwarte okna sali jadalnej, upajał ją gwar paruset rozbawionych osób, podniecał elektryczny strumień ciepła, tryskającego w żyłach, pod ożywczem działaniem wina. Zarumieniona, rozmarzona gorącemi słowami i palącym wzrokiem mężczyzny, wypróżniła puhar na cześć poezyi, miłości i szczęścia, trzech ożywczych krynic życia, z których młode jej usta nie piły dotąd nigdy. Wtem, obok, zabrzmiała mowa polska. Dwóch mężczyzn przesunęło się, zajmując miejsca przy bocznym, małym stoliczku. Pani Zofia drgnęła i pobladła.

— Moi współrodacy — wyrzekła wskazując wzrokiem na przybyłych.

Prowansalczyk w lot myśl jej zrozumiał i, ze swobodą światowca, zmienił natychmiast zarówno ton, jak przedmiot rozmowy.

— Kto jedzie ztąd do Paryża — mówił — ten przedewszystkiem powinien zatrzymać się w Brukseli. Istna to kolebka sztuki, skarbiec jej stworzony dla takich jak pani, wielbicielek piękna.

— Tak, wiem o tem. Wszak to ojczyzna Rubensa i Rembrandt'a.

— Ojczyzna Huberta van Eyck, domniemanego wynalazcy malarstwa olejnego. W *Palais des Beaux-Arts* znajdzie pani wszystkich: Jana van Eyck, Rogera van der Weyden, Hemling'a, Gossaet'a, Brueghel'ów, Savery'ego i całą bogatą plejadę, która przygotowała grunt dopiero dla genialnego Piotra Pawła Rubens'a.

Usta jego mówiły słowa obojętne, oczy zaś przeczyły im, wyrażając świat odrębny uczucia i podziwu.

Młoda kobieta, zapłoniona, zmięszana, napróżno próbowała dostroić się do lekkiego tonu.

— Istnieją przecież późniejsi — mówiła.

(*Dokończenie na str. 129*).



Kobieta francuzka.

Pod takim tytułem odrukował paryzki „Figaro" obszerny wstępny artykuł, który dlatego właśnie, że go tak zużytym i nadużytym opatrzono nagłówkiem, nie budzi na pierwszy rzut oka szczególnego zaciekawienia. Przypuszcza odrazu czytelnik, że to będzie jedna jeszcze charakterystyka i krytyka dążeń kobiety współczesnej — jedno jeszcze zestawienie dnia dzisiejszego z epoką minioną, innemi słowy—jedno więcej przelewanie z pustego w próżne, walkowanie po sto razy już odwracanej kwestyi, albo co najnudniejszem bywa—to samo zawsze wyważanie drzwi otwartych.

Tymczasem pierwszych kilka myśli na samym początku rozumowanego artykułu przekonywają nieufnego czytelnika, że podejrzenia jego były niesłuszne. Artykuł zgoła inną porusza sprawę, a podznaczony pseudonymem Barine, jest właściwie odpowiedzią na odezwę wystosowaną przez znanego francuzkiego publicystę p. Juliusza Lemaitre do pewnej sfery kobiet francuzkich. Zobaczmyż o co idzie p. Lemaitre, a następnie zobaczymy, co mu odpowiada ten p. Barine w jednym z ostatnich numerów „Figara."

Wie już dzisiaj świat cały, a uznać musiano nawet i we Francyi ten pewnik niezbity, że kolonizatorem okazał się Francuz mniej niż miernym. Podbijać potrafi—do osiedlania się, do zagospodarowania na zdobytych terytoryach—do wyciągnięcia, jednem słowem, korzyści położenia, Francuz nie nadaje się jakoś. Ztąd zdobycze Francyi za morzami przedstawiają się dzisiaj jako dzieło mylnego rachunku, a nawet już za II-go Cesarstwa, gdy mowa raz była w ciele prawodawczem o budżecie Algieru, i gdy się Izba na wygórowane koszta tej kolonii krzywiła, jeden z wybitnych Bonapartystów przemógł opozycyę Izb odezwaniem się: „Algier to jest sobie taka loża w operze, a Francya jest dosyć bogatą, aby sobie lożę podobną opłacać mogła."

We Francyi wiele bardzo dokazać można frazesem, i ten też, podobnie jak wiele innych w stosownej chwili wypowiedzianych, nie chybił celu, ale inna rzecz frazes, a inna rachunek. Z biegiem czasu przybywało Francyi terrytoryów, ale wpływ ducha francuzkiego w zdobytych ziemiach okazał się żaden albo prawie żaden, i dzisiaj dziwić się nie można w tym kraju ludziom, którzy radziby jednem krzesiwkiem dwie hubki zapalić, to jest wzmódz wpływ i znaczenie Francyi poza granicami Europy, a jednocześnie przy pomocy umiejętnego zainteresowania żywiołów burzliwszych, usuwać je z wnętrza państwa, zapewniając takim duchom niespokojnym fortuny i powodzenia w koloniach odległych. Idzie tylko o godziwość środków.

Jednym właśnie z wybitniejszych publicystów, którzy w tym duchu oddziaływać założyli sobie na społeczność swoją, jest wspomniany przez nas p. Juliusz Lemaitre. W odezwie do młodej generacyi sfery ziemiańskiej powiada on, aby ci wszyscy, którzy żyli dotąd w zetknięciu z przyrodą, którzy mają znajomość zajęć rolnych, a przytem zdrowie dobre, oko pewne i ducha przedsiębierczego, aby ci wszyscy pomyśleli raz przecie, że w dzisiejszych warunkach chcieć dobijać się bytu we Francyi, jest więcej jak ryzykiem. Zamiast tedy gryźć piórko w jakiejś zapadłej podprefekturze, albo zamiast ubiegać się bezowocnie za karyerą naukową, która jednemu na sto zaledwie dopisuje, dlaczego nie rzucić się na przedsięwzięcie, które ma za sobą wszelkie szanse—dlaczego nie szukać milionów tam, gdzie te miliony są jeszcze faktycznie do zrobienia. Przecież taki człowiek nie potrzebuje się ekspatryować w ścisłem znaczeniu tego słowa, nie potrzebuje zrywać łączności z krajem, a nadto jednym z obowiązków takiego właśnie pioniera byłoby zabrać tam ze sobą tę, która była towarzyszką jego dzieciństwa, tę, z którą przestawanie było mu miłem, gdy wstąpił w wiek młodzieńczy, tę, jednem słowem żonę i przyjaciółkę, któraby mu była pomocniczką w sprawie założenia rodziny francuzkiej poza granicami Francyi. Lemaitre powiada, że właśnie kobiety młode tej sfery, w której żyje dotąd pierwiastek starego ducha szlachty francuzkiej, że takie kobiety powinny ocenić najlepiej wysokie powaby życia w warunkach, które osadnictwo w koloniach otwiera przed niemi. Niestety, na ziemi francuzkiej przy instytucyach tych jakie przyniósł ze sobą postęp, przy równości republikańskiej, na tryb życia w połowie choćby feudalnego miejsca już niema, podczas gdy tam... Te więc, które są wnuczkami towarzyszów Lafayette'a, albo te, które pochodzą ze krwi dawnych Wandejczyków, te szczególnie chwycić się tej myśli powinny, boć tylko jeszcze wśród plemion niecywilizowanych jest prawdopodobieństwo ziszczenia snów niemożebnych do wcielenia wobec instytucyi dzisiejszych. To co we Francyi metropolitalnej utraciło prawa bytu, aż nadto jeszcze będzie humanitarnem (?) w koloniach.

Takiemi łakotkami obietnic, takiemi przynętami, stara się przemówić Lemaitre do sfery, której odrośle młodsze radby wciągnąć w sprawę kolonizacyi.

Co do nas, to przyznajemy w prostocie ducha, że ekspozycya wydaje nam się wadliwą, a przynęta sama niedosyć moralną. Jeśli idzie o wspomnienia historyczne, to najprzód nie należałoby dla zasady samej i dla chwały Francyi gdy mowa o sprawach kolonizacyi, a zatem o wyzyskaniu dziewiczych warunków krainy jakiejś odległej czyli o nabiciu sobie kieszeni w drodze przemocy i przywileju, jaki daje siła — nie należałoby przypominać przy sposobności takiej towarzyszów Lafayetta, ani Wandejczyków, bez względu na to, czy się będzie mówić o szuanach, czy o tak zwanych niebieskich, choćby dlatego, że ani jedni, ani drudzy awanturnikami i poszukiwaczami przygód nie byli. Wiadomo, że Lafayette, jako magnat z rodu, a demokrata z przekonań, stanowi jedną z najpiękniejszych postaci historycznych epoki — wiadomo, że Wandejczycy bez względu na stronnictwo, do którego należeli, przedstawiają po dzień dzisiejszy szczytny przykład bezinteresowności, siły przekonań, i szlachetności rycerskiej. Poplątać te wspomnienia i te pojęcia z ideą kolonizatorską — ideą nader nie etyczną jako pomysł, a dochodzącą często w wykonaniu aż do potworności i ohydy, jak to wreszcie widzimy na przykładach—jest szczególnie antypatycznem, a nawet gotowiśmy powiedzieć nonsensownem. Trzebaby przytem, choćby dla sądu świata, choćby dla przyzwoitości pamiętać o tem, że zdobycze moralności wyższej w polityce, są własnością wszystkich stanów, wszystkich pokoleń i obojej płci także, że więc posądzanie kobiety francuzkiej dzisiejszej o to, aby jej do przekonania przypaść mogły formy feudalne, i że radaby ona poszukać sobie takiej szerokości geograficznej, w której stosowanie tych form mogłoby być bezkarnem — posądzanie o to kobiety, która bądź co bądź stanowi subtelniejszą i wybredniejszą na punkcie wyboru środków część ludzkości, jest prawdziwem szyderstwem z postępu, z zasad—jest objawem oportunizmu cynicznego i brakiem wstydu zarazem. Tak się przedstawia nam patrzącym zdala sama ekspozycya rzeczy zrobiona przez pana Lemaitre; zobaczmy teraz co na nią odpowiada p. Barine, a mianowicie jakie ten ostatni upatruje przeszkody do wprowadzenia w życie tej myśli.

Przedewszystkiem nie razi go bynajmniej ten ogrom cały niekonsekwencyj, który nam kilka powyżej sformułowanych uwag nasunął, a z tego znów pokazuje się, że nie są to względy żadne, gdy idzie o dopięcie celu, i w takiem też a nie innem oświetleniu przedstawia się jemu kwestya cała. Idzie o to, czy ta kolonizacya ma widoki, czy ich nie ma — czy we Francyi dzisiejszej poza przeciętnym typem wymoczka cywilizacyi współczesnej, istnieje jeszcze taka część społeczeństwa fizycznie zdrowa, moralnie biorąc niewybredna w środkach, żądna posiadania i awanturnicza zarazem, którąby można taką misyą kolonizacyi obarczyć.

(*Dokończenie nastąpi*).



KRONIKA.

Z prasy.

Potrącaną dorywczo w pewnych odstępach czasu kwestyę zorganizowania wakacyj letnich dla różnego fachu pracownic, podnosi na nowo „Kuryer Codzienny” w numerze z dnia 18 b. m. i w osobnym artykule „Z teki projektów” stara się ująć ją w pewną formę i stworzyć odpowiednią organizacyę. Mówiono już u nas o koloniach letnich dla szwaczek cierpiących w tych miesiącach podwójnie, bo dotkniętych i zamknięciem w murach, i brakiem roboty jednocześnie. Przedstawiano już nieraz do uwzględnienia ogółowi prawa do spoczynku w warunkach sprzyjających naszych nauczycielek prywatnych, tych źle wynagradzanych, i tak szybko szafujących kapitałem życia pracownic, którym powierzamy do spełnienia jedno z najważniejszych zadań w rodzinie i społeczeństwie. Przekonani jesteśmy, że jedna i druga z tych instancyi wnoszonych do uczynności ogółu nie przebrzmiała bez echa — wierzymy mocno, że tu i owdzie szlachetny popęd serc kobiecych pośpieszył z pomocą jakiejś potrzebującej wzmocnienia sił, jednostce, ale o czynnem zabraniu się do organizacyi—o stworzeniu odpowiedniego stowarzyszenia, nie słychać u nas dotąd.

Uwagi swoje w tej sprawie taką opatruje konkluzyą autor artykułu w „Kuryerze Codziennym:”

„Co tedy zrobić z biednemi nauczycielkami? Ze sprawą internatów letnich należałoby się udać do Schronienia nauczycielek i zaproponować zarządowi tej instytucyi urządzenie tak zwanej sekcyi świeżego powietrza dla owych pracownic. Wszak Schronienie ma opiekę, a ta opieka ma niezawodnie stosunki. Niechajby więc opieka ułatwiła zarządowi Schronienia *pożyczkę na organizacyę internatów letnich* na początek dla 20 nauczycielek.

„Do dalszych czynności potrzeba dobrego rachmistrza, tu możemy podać tylko projekt — mówi Kuryer. — I tak: Zarząd wynajmuje 20 lokalów letnich, każdy o 2 pokojach z kuchnią. Następnie otwiera w Styczniu listę zapisów na kolonie letnie dla dziewczynek *nie ubogich* rodziców, a zamyka ją w Marcu. Każda z nauczycielek zabiera z sobą na kolonie tylko 3 dziewczynki, nie tyle dla lekcyi, ile dla spacerów i zabaw w ich towarzystwie. Z 20 nauczycielkami wyjechałoby więc na jeden sezon 60 dziewcząt i tyleż na drugi. Opłata od tych 120 dziewcząt powinna być niezbyt wysoką, lecz tak obliczoną, aby po pokryciu kosztów całego internatu, pozostał pewien fundusz na stopniowe umarzanie zaciągniętej pożyczki.

„Takie są moje projekty. Jeśli kto ma lepsze niechaj z niemi spieszy — kończy autor podpisany „Hagar” w „Kuryerze Codziennym.”

Wyznajemy, że projekt nie wydaje nam się dobrym — dlaczego, postaramy się usprawiedliwić:

A najprzód, gdy idzie o sprawę tej natury, co wypoczynek letni, przepędzenie wakacyi, i podreperowanie zdrowia, tam wyraz sam pożyczka — zaciągnięcie zobowiązania na przyszłość, a zatem obarczenie długiem osoby lub zbiorowości, razi w wysokim stopniu niestosownością. Tem trudniej nam zrozumieć w tem dziele konieczności inicyatywy zarządu Schronienia Nauczycielek, bo ta instytucya zmuszona odwoływać się do ofiarności publicznej, mająca swoje znaczne kłopoty, i swoje cele specyalne, nie mogłaby w żaden sposób być obarczoną takiem zadaniem dodatkowem, zwłaszcza gdy jej administracya wcale tak sprawną nie jest, aby na podobne rozgałęzienie czynności pozwalała. O tem więc niema co myśleć, i do tego nie widzimy potrzeby powracać.

Jeśli podpisujący czy podpisująca się „Hagar” w sprawę wakacyi dla nauczycielek implikować chce dzieci rodziców zamożnych, czy zamożniejszych, to nie wiemy dlaczego kwestya schodzić ma na drogę jakiejś organizacyi, kiedy ona załatwioną być może jedynie w drodze porozumienia między stronami. Po prostu rodzice potrzebują wysłać dziecko na wypoczynek i świeże powietrze, a nie mogą z niem wyjechać sami. Cóż robią w takim razie? Wybierają osobę zaufania, dajmy na to tę samą nauczycielkę, która w ich domu daje lekcye, a jeżeli chcą aby im to przyszło taniej, porozumiewają się z drugim, a choćby i trzecim domem, i wysyłają dzieci pod dozorem takiej osoby starszej, która zyskała sobie widać ich szacunek i ufność, skoro jej powierzają największe dobro swoje

Temu nie może nic dopomódz organizacya żadna, bo to jest kwestya wolnego wyboru osoby — wyboru, do którego roszczą sobie prawo ci wszyscy, którzy w zamian za pożądaną usługę mogą ofiarować wynagrodzenie, a przecież ci rodzice, których projektodawca nazywa nieubogiemi, takiej usługi gratis żądaćby w żadnym razie nie mogli. Ten ostatni wzgląd łączy się najściślej z tem, co nam w ostatnim punkcie do powiedzenia jeszcze pozostaje.

Nie należy zapominać ani na chwilę, że taki sposób przepędzania wakacyj letnich nazywa się u nas kondycyą, że nietylko nie jest on dla nauczycielki żadnym broń Boże wypoczykiem, ale stanowi jedno z cięższych zadań, zaostrzone nadto odpowiedzialnością zupełnie wyjątkową. Trzeba pytać o to kobiety, które kosztowały podobnie słodkich wczasów, trzeba je sobie wyobrazić tam gdzieś daleko z trojgiem dzieci, z których jedno np. zasłabło poważnie, trzeba wreszcie ocenić ten ciężki obowiązek nieustannego dozoru nad trojgiem dzieci różnych temperamentów i rozmaitego wychowania, a nie będziemy nigdy łączyć podobnego obowiązku z myślą wypoczynku, wytchnienia, podratowania sił dla osoby, która te siły nadszarpała w najcięższym z trudów— trudzie pedagogicznym.

Należy zawsze stawiać kwestyę jasno, a w danym wypadku należy zapytać przedewszystkiem czy nauczycielka potrzebuje zarabiać, czy chce wypoczywać. Jeżeli potrzebuje zarabiać, niechaj się ucieknie i do tego jeszcze środka, niechaj się postara o to, aby jej na czas pewien, zawsze rozumie się z odpowiednim wynagrodzeniem, powierzono dzieci na miesiące wakacyjne. To rzecz jej dobrej woli — jej sił i zasobów. Gdy jednakże idzie o to, żeby odetchnąć, wypocząć, a ewentualnie leczyć się czy wzmocnić, wtedy nie mówmy jej już o towarzyszeniu trojgu, najgodniejszych nawet miłości i starań cherubinków, bo te najdroższe tyrany nasze nie mogą się w żaden sposób, w chwilach zwłaszcza wakacyjnego nastroju swego, przyczynić do podhartowania roztrojonego systemu nerwowego, albo odrestaurowania nadwątlonych wysiłkiem organów oddychania. To są rzeczy, które się ze sobą pogodzić nie dadzą w praktyce, i ten kto je połączyć próbuje, wychodzi z założenia fałszywego zupełnie.

Jak my pojmujemy to zadanie, i w jaki sposób radzibyśmy aby pomyślano o przyjściu z pomocą zasługującym ze wszech względów na tę pomoc nauczycielkom naszym, postaramy się sformułować w przyszłym numerze „Tygodnika.”

Kolonie letnie.

W dniu 12 Marca odbyło się ogólne zebranie członków Towarzystwa kolonii letnich. Rozpoczęto posiedzenie od odczytania protokułu działalności Towarzystwa za rok ubiegły. Z ogólnej liczby 4,032 dzieci, zapisanych jako kandydatów do wysyłki na letnie mieszkania, wysłano 2,135 tylko — w każdym razie o 174 więcej niż w roku poprzednim 1896. Kolonij letnich było 14, a w tem dwie lecznicze: w Ciechocinku i Solcu. Kolonie w Lesznie i Sannikach utrzymywane były z funduszów prywatnych. Dochody wynosiły 29,632 rs. — rozchody 22,823 rs. Budżet na rok bieżący wykazuje remanent 6,808 rs.—procenta wynoszą 1,007 rs. — składki członków 2,221 rs. — składki członków nowych 2,200 rs. — sprzedaż rabatowa 4,500 rs. — ofiary 8,462 rs. Na summę wydatków składają się następujące pozycye: pensye lekarzy, pomocnika skarbnika i t. p. 2,880 rs.—kolonie 19,560 rs. — naprawa inwentarza 1,460 – wydatki ogólne 1,300 rs. W roku ubiegłym przeciętny przyrost na wadze dziecka po czterotygodniowym pobycie w kolonii wynosił 3 i pół funta.

Ze sztuki.

Kijowski korespondent do „Słowa” donosi o rezultacie konkursu muzycznego, ogłoszonego przez księgarnię Idzikowskiego w Kijowie. Nagroda, jak to zapewne przypominają sobie czytelnicy, miała być przyznaną za napisanie marsza uroczystego ku uczczeniu Mickiewicza. Kompozycyj nadesłano komitetowi ogółem 15, które po skrupulatnej ocenie okazały się nieodpowiednie ani treścią, ani nastrojem. Wobec tego uznał komitet niemożność przyznania nagrody, ani nawet wyróżnienia zaszczytnego. Niechajże kto powie, że szkoły wydają talenta. Prawie od tak dawna pozbawionym jest kraj szkoły sztuk pięknych, jak otworzono w Warszawie Instytut muzyczny, tymczasem malarzy znakomitych i rzeźbiarzy głośnych nietylko u nas, ale i poza granicami kraju naszego, mamy ilość bardzo pokaźną, a z tą muzyką nieszczęsną jak nie idzie, tak nie idzie. Ani twórczości, ani nawet orkiestrowego wykonania. Wyraźnie nie jesteśmy narodem muzykalnym.

Osobiste.

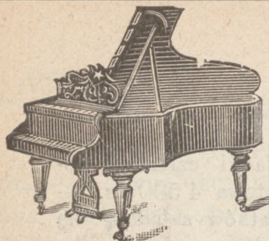
„Gazeta Lwowska” podaje do wiadomości, iż Henryk Siemiradzki otrzymał od króla Humberta oznaki orderu włoskiego św. Maurycego i Łazarza. Jest to najwyższy order w tym kraju, jeśli zważymy, że order Anuncyaty udzielany bywa tylko osobom panującym i dygnitarzom politycznym.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W. na Z. Papro. w Psc. Panorama Mód Paryzkich dołączoną będzie do jednego z pierwszych numerów kwartału II-go, tak jak było ogłoszone. Wcześniej nie może być dołączoną dlatego, że w Paryżu wychodzi dopiero po połowie Marca.

Stałemu prenumeratorowi z Kraśnik. Adres p. Ćwierczakiewicz Królewska 3, m. 8.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.



Warszawa, Mazowiecka № 16.

NAJWIĘKSZE W KRAJU SKŁADY

Fortepianów, Pianin i Organów

HERMAN GROSSMAN

Filie: St.-PETERSBURG ul. Morska № 33, MOSKWA Kuźniecki Most, LUBLIN Królewska № 207.

Sprzedaż na raty po rs. **25** miesięcznie. WYNAJEM.

Illustrowane katalogi gratis. 833—6-3

WIEDEŃSKA FABRYKA

Kapeluszy Słomkowych i Filcowych

838-6-1 **STANISŁAWA BERBIES**

Nowy Świat 59, w Warszawie.

Fabryka sprzedaje hurtowo i detalicznie, a także przyjmuje kapelusze do odświeżania i przefasonowywania na najświeższe fasony zagraniczne po cenach fabrycznych.

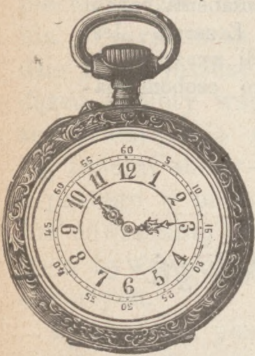
NAJLEPSZE MYDŁO DO PRANIA

bez przymieszki żywicy i innych surogatów. **Nadaje białość, zapach, dezynfekuje nie niszcząc bielizny** usuwa potrzebę używania chlorku, sody, bielideł etc. etc. Wypróbowane w szpitalach i pralniach za granicą i u nas. Wyrabia fabryka

„STĘPKOWSKI & SZYMAŃSKI"

Żądać wszędzie. ***Warszawa, Wolność 16. — Telefonu 1110.*** 707-26-2[3]

!! TANIE, PRAKTYCZNE I KORZYSTNE !!



Ozdobne i trwałe kieszonkowe zegarki męzkie, odkryte, remontuar, t. j. nakręcane bez klucza, ze szkłem ochraniającym od kurzu, trwałym mechanizmem, grubo złocone, niczem nie różniące się od prawdziwych złotych, z **ozdobnym łańcuszkiem** z nowego złota amerykańskiego

TYLKO za 5 rubli.

Gwarancya piśmienna na 6 lat.

Zegarki, dokładnie wyregulowane, wysyłamy po otrzymaniu 1 rs. zadatku.

ADRES: **FIRMA HANDLOWA**

827-25—2 Braci WARKOWICKICH

Skład genewskich i francuskich zegarów w Warszawie, Zielna № 41.



773—12-8

Magazyn Instrumentów Muzycznych i Strun Włoskich

J. FEIGENBAUMA

w Warszawie, ulica Marszałkowska N. 153, róg Królewskiej

Specyalna pracownia wszelkich instrumentów muzycznych.

SKŁAD MEBLI

majstrów stolarskich

Marszałkowska 136, róg Ś-to Krzyzkiej, I-sze piętro.

Wielki wybór mebli z własnych warsztatów. Tapicernią własna.

668-24-18 Zarządzający ***Julian Goetze.***

M-me Parascovie.

Po długoletniej praktyce w kraju i zagranicą

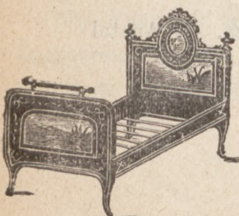
OTWORZYŁAM 675-25-18

PRACOWNIĘ SUKIEN i OKRYĆ DAMSKICH

przy ulicy BIELAŃSKIEJ № 23, w Warszawie.

M-me Parascovie.

Bielańska 23. Bielańska 23.



116. MARSZAŁKOWSKA 116.

SKŁAD FABRYCZNY

Mebli żelaznych, Wózków i Welocypedów dziecinnych

z oddziałem pościelowym

J. Neufelda, w Warszawie,

MARSZAŁKOWSKA 116.

Poleca swe wyroby i artykuły pościelowe po cenach fabrycznych nizkich. Cenniki na żądanie gratis i franco. 695-26 15

Adres dla listów: **Pańska 33 (fabryka).**



SKŁADY MATERYAŁÓW APTECZNYCH

Ludwika Spiessa i Syna

W WARSZAWIE:

ulica Senatorska № 464|5 i Marszałkowska 140,

W ŁODZI:

ulica Piotrkowska, dom „K. Scheiblera",

polecają:

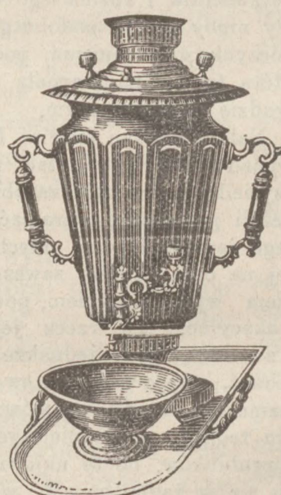
Oliwę do jedzenia najlepszą Nicejską i Prowancką;
Octy: winny, stołowy, Estragonowy i kuchenny, 831-5—3
Gelatinę białą i różową do galaret:
Cacao Van Houten'a wzmacniające w 1/1 1/2 i 1/4 puszk;
Ekstrakt słodowy odżywczy ***Halla i Trąbczyńskiego;***
Farbki, Krochmale do bielizny w najlepszych gatunkach;
Oliwę do palenia zupełnie czystą i do maszyn;
Vin St.-Raphaël;
Zaprawy do podłóg woskowe i terpentynowe;
Wodę kolońską własnego wyrobu w najlepszym gatunku i ***Ekstrakt*** do robienia wody;
Perfumy angielskie i francuskie na łuty;

oraz

wyłączna sprzedaż w filii,

przy ul. Marszałkowskiej 140:

Farby anilinowe do domowego użytku, w różnych kolorach do farbowania wełnianych, bawełnianych i jedwabnych materyałów;
Farbę kremową do firanek, koronek i różnych tiulów;
Farbę kolońską do włosów, marki Nr: 4711 w 4-ch kolorach,
Wodę toaletową z nadreńskich kwiatów, ***Wodę kolońską*** w kilku gatunkach, ***Perfumy i Mydła.***



HERBATĘ i SAMOWARY

jak również

TACE, NOŻE STOŁOWE,

MASZYNKI do KAWY, SZCZOTY i t. p.

poleca

D. SZUMILIN

ulica Miodowa N-r 24, róg Długiej,

W WARSZAWIE. 716—3-3

765—13—13 **DOSTAWCA DWORU JEGO CESARSKIEJ MOŚCI**

K. M. Schröder

24 Nowy-Świat 24 24. Nowy-Świat 24.

POLECA:

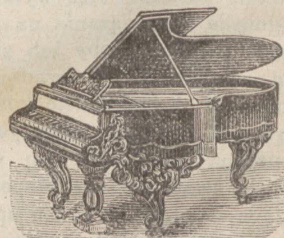
FORTEPIANY i PIANINA

w wielkim wyborze i po cenach przystępnych

w Składzie fabrycznym

w Warszawie.

ILLUSTROWANE CENNIKI na żądanie gratis i franko.



24. NOWY-SWIAT 24

SZKOŁA KROJU I SZYCIA

EMILII EHRENKREUTZ,

uczennicy Worth'a, ***MISTRZYNI CECHU.***

Nagrodzonej ***Medalem „de l'Academie Nationale des Maitres Tailleurs de Paris."***

Przy Szkole ***Pracownia Sukien. Krój*** bez żadnych poprawek.

W Warszawie, Chmielna 24, parter, front. Zgoda 3.

647—25—24

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Марта 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.**

— Rzecz prosta: van Dyck, Jordaens, Snyders, Dawid Teniers i tylu innych. Bruksella jednak nie posiada dzieł ich najpiękniejszych. Louvre paryzki dostarczy pani stokroć więcej wrażeń pod tym względem. Mam nadzieję, iż będę dobrym wśród niego przewodnikiem. Sztuka, to moja namiętność, to jedno z wielkich ukochań mego życia. Nie dla niej jednak namawiałem panią na zatrzymanie się w Belgii. Nie lubię szkoły Niderlandzkiej. Te wielkie, otyłe Flamandki i Holenderki, te uczty, te Kermessy, które były jarmarkami i odpustami zarazem, rażą mię zmysłowością, natłokiem ciał, bogactwem stroju, całą swą cechą materyalną i materyalistyczną zarazem.

— A jednak, w malarstwie strona plastyczna, musi zawsze panować nad duchem.

— Przenigdy! W takim razie podziwiamy rzemiosło, lecz nie sztukę, dążącą do ideału i będącą jego wyrazem. I, dla tego właśnie, nie wzrusza mię i nie porywa mistrzowski pędzel Rembrandt'a; dla tego nie lubię jego szkoły: Ruisdael'a van Ostade'ów, Steen'a, Wouwermaan'a Cuyp'a, van der Meer'a, Heyden'a; nie lubię, bo napróżno wśród dzieł ich szukałbym postaci, podobnej do pani.

— Och—zaprzeczyła—cóż za żart!...

— Nie! To wyraz głębokiego mego przekonania. Powiewną rusałkę lub typ przeczystej madonny, w której duch panuje nad ciałem, odnaleść tylko można wśród mistrzów włoskich. Oni jedni zrozumieli najwyższy urok kobiecości, oni potrafili odtworzyć czar, którym istoty podobne pani, ujarzmiają nas na zawsze.

I szermując z chełpliwością Francuza, zarówno szeregami nazwisk, jak zdaniami pierwszych krytyków, wprowadzał ją w świat sztuki i piękna, w świat ideałów i teoryj, które działały najsilniej na poetyczny, skłonny do uniesień umysł kobiety. Zwroty ku niej, ku sferze uczuć i wrażeń, nadawały rozmowie ton poufny i osobisty. Prowensalczyk nie zaostrzał go jednak, nie stawał się ani natarczywym, ani zbyt egoistycznym, w obawie zapewne, by śmiałość jego nie spłoszyła powiewnej istoty, by, jak cudny ptak złoto pióry nie rozwinęła ona powtórnie skrzydeł, uciekając daleko, daleko... Chciał uśpić czujność jej i dokazał tego najzupełniej.

Rozmarzona, zasłuchana w melodyę słów jego, zapatrzona w nowe horyzonty sztuki i myśli ludzkiej, jakie przed nią roztaczał, zahypnotyzowana pełnym uwielbienia wzrokiem mężczyzny, szczęśliwą była zupełnie. Poiła się wrażeniem chwili, piła spragnioną piersią przeczyste powietrze Siedmiogórza i, ze złotą aureolą włosów, przez prąd powietrza nad czołem rozwianą, z zorzą rumieńca na twarzy, a blaskiem radości w kameleonowych oczach, raz przynajmniej nie myślała o rzeczywistości.

Na pokładzie, gdzie zajęli dawne swe miejsca, brzmiała dyskretna, stłumiona muzyka i rozlegał się gwar rozmów licznych. Zdala, w pobliżu kufrów, błyskała jasna sukienka dziecka. Pani Zofia jednak, nie widziała go wcale.

Już mury Koblencyi minęli oddawna, już słońce chyliło się ku zachodowi, a w rubinowych jego promieniach błyszczały na widnokręgu wieżyce Kolonii, gdy piękna kobieta ocknęła się wreszcie.

— Kolonia?—zawołała z rozczarowaniem.— Tak prędko!

Bezwiedne to pochlebstwo wywołało błysk gorący w oczach mężczyzny.

— Nienawidzę miast niemieckich, lecz za słowa te, pani, będę odtąd kochał Kolonię — wyrzekł z kornem nieledwie pochyleniem głowy.

— Czy zwiedzimy ją dziś jeszcze?—podjęła.

— I owszem. Na dłuższy pobyt szkoda czasu. Dziś obejrzy pani miasto i św. Gereona, ową grobową kaplicę męczenników Tebaidy, jutro, o wczesnej godzinie Katedrę, poczem, pierwszym pociągiem, możemy wyruszyć do Paryża, jedynej stolicy, godnej gościć panią w swych murach.

W tej chwili złotowłosa dziewczynka przybiegła do nich, i bardzo nieśmiało złożyła jasną swą główkę na kolanach matki.

— Mamo, Jania zmęczona, — uskarżała się z cicha.

— Zmęczona?—powtórzyła pani Zofia z roztargnieniem.—Biedna Jania!...

— Biedna Jania! — westchnęły, jak echo, usta dzieciny.

Lecz rozpromieniona jej matka nie słyszała już tego. Oczy jej bowiem pobiegły chciwie w dal, gdzie na tle ciemnego niebios szafiru, w obłokach nieledwie zawisłe, błyszczały i mieniły się złotymi krzyżami wysmukłe wieżyce katedry kolońskiej.

. . . .

Nazajutrz, o wczesnej bardzo godzinie, z bramy najbogatszego hotelu w Kolonii, wysunęła się wykwintna sylwetka niewieścia. Szwajcar, biorący arystokratyczną tę postać, za ekscentryczną lady angielską, zwiedzającą pospiesznie miasto przed odejściem pociągu, skłonił jej się grzecznie. Damie towarzyszyła 5-letnia może dziewczynka; wszelkiej więc *respectability* zadość się działo. Zresztą, cóż go to mogło tak dalece obchodzić?

Kobieta, uszedłszy kilka kroków, stanęła nagle, na zakręcie ulicy. Oczy jej o topazowych połyskach, nie dobrze jeszcze ze snu rozbudzone, błysnęły zdumieniem i rozszerzyły się podziwem. Przed nią, potokami jasnego światła oblane, a przez porównanie z otaczającymi domami, prostsze jeszcze wysmuklejsze i wyższe, strzelały śmiało w obłoki, gotyckie wieże katedry.

Wzrok przybyłej zdziwiony potęgą i wielkością gmachu, przykuty jego pięknem, doznał nieledwie olśnienia. Jakżeż dziwnie małą i marną wydawała się sama sobie, wobec tego pomnika wiary i miłości. Bo dzięki im tylko, ostrołuk zebrał tu wszystkie idealne swe nieporównane formy, by pnąc się niemi pod obłoki, wznieść Panu nad Pany jeden z tych przybytków Bożych, których czystość linii i śmiałość zarysów, przez wieki później zdumiewają umysł a serce ku niebu podnoszą. Co za siły woli było potrzeba, jakiej mocy charakteru i pracy, aby wykuty w kamieniu fronton świątyni i koronkowe rzeźby jego, złączyły się w jeden nieśmiertelny poemat, biegnący tak śmiało, powiewnie a wysoko, wysoko, w przestworza, za któremi duch ludzki nigdy tęsknić nie przestanie.

Wszak i jej serce, niepewnością szarpane, rwało się ku nim, w tej chwili.

Pociągnąwszy też dziecko za sobą, a nie zatrzymując się dłużej przy rzeźbach portyku, drzestąpiła próg świątyni. Równocześnie jednak, stanęła zdumiona.

Katedra, dzięki wczesnej godzinie, pustą była zupełnie.

Od potężnych filarów pięły się w zamian tem wyraźniej, łuki ostre, wysmukłe biegły śmielej, coraz śmielej, łącząc się u szczytu, z lekkością szaty powiewnej, z natchnieniem pieśni, która jakimś wielkim, potężnym rozbrzmiewa akordem.

Sądziła, iż znajdzie tu półmrok i tajemniczość, znaną jej z kościoła św. Szczepana, a usposobiającą do marzeń i mistycznych uniesień. Tymczasem, żadnych ozdób, żadnych złoceń. Wszystko tu było: prostotą, jasnością, powagą. W takiem otoczeniu, duch tylko skupia się i koncentruje, a czując nicość własną, wobec podobnego ogromu, w proch się korzy, lub, za łukami tymi, dąży w niebiosy.

Młoda kobieta stała milcząca, zapatrzona w cud ten i w tajniki własnej duszy, prawie oniemiała.. W tem, jasne promienie słońca, przebiwszy się przez szyby kolorowe, rzuciły na szczyty sklepienia, tęczę barw przeczystych. Chwila ta dziwnie podziałała na przybyłą. Zdawało jej się, że mury ożyły nagle, że duch wstąpił w nie, wijąc nad poetycznymi ostrołukami nimb przejrzysty.

Świątynia zadrgała cała. Uroczyste, podniosłe tony organu, przypomniały w porę złotowłosej cudzoziemce, że gmach ów potężny żył tylko ideą, duchem, dla których stworzony został. A pieśń tymczasem wypełniała sklepienia, będące rodzajem pieśni także. Gdzieś dalej, w głębi, dla oka niedostrzegalnej, odprawiała się ofiara mszy świętej. Poruszona chęcią, uczestniczenia w niej, na palcach, by odgłosem kroków nie zamącać ciszy, pełnej namaszczenia, szła naprzód i naprzód, aż uderzona niezwykłym widokiem, stanęła, nie broniąc się dłużej wzruszeniu.

U stóp grobowca spoczywającej tu królowej polskiej, Ryksy, kapłan staruszek, głowę swą, śniegiem pokrytą, i postać drobną, zasuszoną, pod brzemieniem lat ku ziemi idącą, chylił przy świętej ofierze. Dwie świece i ołtarz jakby prowizoryczny, z desek złożony, stanowiły ramy do ofiary. To ubóstwo niezmierne, przy potędze gmachu, dźwignionego za dziesiątki milionów, uderzającym było kontrastem. Pan wszechświata stawał się znów w tej chwili ubogiem dziecięciem, w stajence urodzonem; zstępował zaś na ten ołtarz, pokorny a biedny, za tego, który w trumnie ubogiej u stóp jego spoczywał.

Ta trumna właśnie, prosta, z pobejcowanych desek zbita, a w połowie tylko okryta czarnym całunem, tu, o wschodzie słońca, wśród ogromu jednej z najpotężniejszych i najwspanialszych świątyń ziemi, musiała wstrząsnąć każdym. Dawała uczuć bowiem, jakim atomem, jakim prochem był człowiek, wobec wszechmocy Bożej, której gmach ów niósł część korną.

Pani Zofia była do głębi poruszoną. Tak dawno pragnęła zobaczyć kolońską katedrę i oto ujrzała ją nagle, w brzasku porannym skąpaną, z trumną stojącą na ziemi, niknącą jak atom, wśród niebotycznych łuków, tego najpotężniejszego z Bożych Chramów. Ów zmarły, ów trup, w czterech prostych deskach

zamknięty a spostrzeżony nagle, bez żadnego przygotowania, wprost na podłodze, u stóp jej prawie, samem przeciwstawieniem ze wspaniałością świątyni, jak gromem w nią uderzył. Nogi się pod nią ugięły; pochyliła się i u trumny uklękła, twarz w dłonie kryjąc.

Nie była zabobonną, a jednak ten nieboszczyk, ta garść prochów zmartwiałych, spotkana u wstępu dnia, po którym obiecywała sobie tyle radości, zmroziła ją i wstrząsnęła. Wrażenie przytem było głębszem, bo czuła, że ją do tej trumny coś ciągnie poprostu.

Pochyliła się, by przeczytać napis na blasze umieszczony, i drgnęła gwałtownie.

Z pod całunu bowiem, czerniło się wyraźnie imię zmarłego:

Ernest Wollmer-Kowalski.

Wollmer - Kowalski! Panieńskie nazwisko jej matki; miano rodu, z którego wyszła ona sama i długie szeregi jej prababek! Wollmer Kowalski, to musiał być jej krewny, jakiś biedny wygnaniec, który tu w nędzy widocznie, dokonał nieszczęsnego żywota, zdala od pięknego, rodzinnego jej gniazda, od owych murów odwiecznych a nieskazitelnych, służących jej niegdyś za kolebkę. Nie miała męzkich krewnych tego nazwiska. Jej matka ostatnią była i ztąd majątek, po kądzieli, na nią później przeszedł. Nie miała, a jednak, tu, przed nią, w ubogiej czarnej trumnie, pokrytej w połowie kirem grobowym, a postawionej na kamiennej posadzce, bez żadnych kwiatów lub świateł, stał Wollmer - Kowalski i, po przez wieko trumny, zdawał się groźnie spoglądać na nią, jak gdyby chciał żądać rachunku z czynów jej, jak gdyby chciał powiedzieć, iż kobiety ich rodu nieskazitelne były i niezwykły, żartem nawet, igrać z pozorami lub postępować lekkomyślnie.

Zadrżała.

A może to przestroga, zesłana przez ducha matki? Może imię jej, spotkane w takiej chwili, ma być dla niej wskazówką i puklerzem zarazem.

Pochwyciła za ramię dziecię swe, garnąc je do piersi ruchem gwałtownym, gorączkowym nieledwie.

Dziewczynka, zdumiona nagłym wybuchem, zapytała bezwiednie:

— Co tobie, mamusiu?

Pani Zofia silniej jeszcze przycisnęła ją do piersi.

— Zmów Janiu, paciorek, za tego nieszczęśliwego. Należy mu się od nas modlitwa...

Organy, jak hymn podniosły, wypełniły w tej chwili niebotyczny strop świątyni. Równocześnie zaś, nad grupą złożoną z wysmukłej, złotowłosej kobiety i dziecka, tulonego przez nią w ramionach, pochylił się mężczyzna wysoki, o kruczym, krótko przyciętym zaroście i czarnych, gorejących oczach.

— Zorza nie wstaje raniej — wyszeptał z miękiem pochlebstwem. — Przyjść tu, gdy nie ma jeszcze tłumów bezmyślnych, to pomysł godny poetycznego usposobienia pani.

Ona drżała, jak liść osiny.

— *Bon jour, Ninon* — mówił, dotykając płowych splotów dziecka, tak podobnych do złocistej główki matki.

Dziewczynka szarpnęła się i silniej przytuliła do ramienia pani Zofii, której oczy, ciemne w tej chwili, o rozszerzonych źrenicach, nie mogły oderwać się, od żałobnego na trumnie napisu:

Ernest Wollmer Kowalski.

Przez wieko grobowe widziała wyraźnie oblicze, podobne bardzo do rysów swej matki. Jakieś przerażenie, jakaś trwoga przesądna, ogarniała ją coraz silniej. Południowiec czuł się widokiem tym niemile również dotkniętym.

— Chodźmy ztąd—szeptał.—Co za myśl, by dzień rozpoczynać od modlitwy przy zwłokach nędzarza? Czyni to zaszczyt sercu pani, lecz może stanowić dla nas zły omen. Gotów powstać—dodał żartobliwie—i zatańczyć nam jeszcze *une danse macabre*. Chodźmy; czeka na panią mocarz największy, bo słońce i Kolonia, strojna na twe przyjęcie wszystkimi jego blaskami.

W naleganiu tem, łączyła się prośba, z pewnym tonem stanowczym, nieznoszącym oporu:

Złotowłosa powstała, ociągając się, a w pięknych jej rysach głucha odbiła się walka.

Odeszli kilkadziesiąt kroków, potem zatrzymała się i, oparta o filar, znów w trumnę tę patrzyła, a przed oczami jej stał ciągle czarny, na blasze wyryty napis:

Ernest Wollmer-Kowalski.

— Katedra przepiękna; wszak prawda? — pytał głosem stłumionym Francuz.—Ale zwiedzimy ją później. Teraz chodźmy. Kazałem przygotować śniadanie i obstalowałem powóz. Obejrzymy Kolonię w godzin parę; o pierwszej zaś, pospieszymy kuryerskim pociągiem do Paryża.

Słuchała go, lecz równocześnie, przed oczyma jej, zapatrzonemi w ubogą trumnę sosnową, przesuwały się miraże niw ojczystych, starego dworu, w cieniu lip odwiecznych i maleńkiego obok kościołka, o jednej drewnianej wieżyczce.

— Skoro pani tak lubi smutne widoki, zaprowadzę cię jutro do Inwalidów. Tam będziemy patrzeć przynajmniej na grób Napoleona I — szeptał Francuz z przechwałką. — A potem dodał w myśli—pójdziemy na rozweselenie do „Folies Bergères.“

Dźwięk dzwonków rozległ się w tej chwili. Ona, chcąc się uwolnić od tego szeptu, który zdawał się już znamionować prawa własności, przyklęknęła, głowę chyląc w pokorze.

Oczy jej jednak pobiegły w dal, tam, gdzie u szczytu łączących się i pnących ku górze ostrołuków, słaniały się, jak duchy eteryczne a niepochwytne, białawe dymy kadzideł.

I w chwili rozterki duchowej, ogarnęło ją jedno jedyne pragnienienie: Zamienić się w opar taki, w gorące natchnienie modlitwy; stopić się z tą ciszą kojącą i pozostać tu, na zawsze, na zawsze...

Pod powiekami wszakże, przez pryzmat łzy bezwiednej, inny na siatkówce powstał obrazek. Wśród czarnoziemia lubelskich łanów, ujrzała znów ów ubogi, o jednej wieżyczce kościołek, a obok cichy, wiejski cmentarzyk,

Jeżeli spocząć kiedyś, to tam, bo i po śmierci bogom swym wiernym być należy...

Podniosła się, ostatniem wejrzeniem ogarnęła przecudny poemat, w kamieniu wykuty, a zwany katedrą kolońską, ostatnim rzutem oka wryła sobie w pamięć ten las filarów, niknących w oddali, ten ogrom potężny, a wstrząsający, i ubogą trumnę, jak proch rzuconą u jego podnóża...

Słońce, wdarłszy się w tej chwili przez kolorowe szyby, rzuciło znów na świątynię snopy blasków tęczowych. Katedra ożyła, zapaliła się i gorzeć zdawała. Znikome tylko szczątki człowieka stały u stóp jej, ciche i czarne...

— Ernest Wollmer-Kowalski — powtórzyła i, ująwszy rączkę dzieciny, zwróciła się ku drzwiom z wyrazem silnego postanowienia.

— Nareszcie — wyszeptał Francuz, z czułym wyrzutem. — Teraz przecież moja nadchodzi kolej. Tak niewiele mamy czasu do odjazdu.

Kobieta zatrzymała się u portyku świątyni.

— Pan daruje—wyrzekła—lecz plany moje nagłej uległy zmianie. Dostałam depeszę z domu, od męża, wzywającą mię do natychmiastowego powrotu. Pociąg do kraju odchodzi za godzinę; pozwoli pan zatem, że go tu bezzwłocznie pożegnać muszę.

— Jakto?—zawołał—potem, co zaszło między nami!

Złotowłosa wyprostowała się z dumą.

— Sądzę—przerwała wyniośle—iż nie zaszło nic takiego, coby swobodę moich ruchów tamować mogło. A wyciągając ku niemu rączkę, dodała ze smutną słodyczą:

— Żegnam pana. Ujrzałam tu nagle upiora, który mi przypomniał gdzie cel mój, i kędy do niego droga. Proszę nie chować do mnie urazy; każdy musi we właściwej sobie sferze, szukać spokoju i zadowolenia.

Była w niej anielska słodycz kobiety, lecz zarazem niezłomna powaga królowej. Mężczyzna ze czcią pochylił głowę. Ona zaś, ująwszy dziecko za rękę, jak świetlane widze nie znikła mu z przed oczów.

. . . .

Pociąg, unoszący podróżnych na północ, ku szaremu niebu Polski, pędził przez wspaniały most na Renie. Z okna wagonu pierwszej klasy, wysunęła się główka kobieca, aureolą złotych włosów otoczona. Oczy jej jasne, wewnętrznem zadowoleniem płonące, pobiegły ku miastu. Mury Kolonii, jednak niknęły już stopniowo. Na horyzoncie tylko widniały i zdawały się żegnać ją, wysmukłe a przepiękne wieżyce katedry. Śmiałe, jak myśl ludzka, proste, jak modlitwa, biegły one w niebiosy, wyżej, coraz wyżej, niosąc na koronkowych swych skrzydłach, przed tron Pana zastępów, klejnot najcenniejszy na ziemi, bo uratowany honor kobiety i serce uczciwej matki.

KONIEC.